NUMER 52. DNIA 25. GRUDNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z NOWOGRÓDZKIEJ ZIEMI.

W pokoju, gdzie niegdyś przemieszkiwał wieszcz nasz ukochany, w Murowance Tuhanowickiej, na ścianach wypisują ludzie, zwiedzający tę Mekkę i Medynę litewską, różne myśli swoje, w wiązanych słowach oddane. Wiersze prawie wszystkie są dość liche, bo duch poetycki zamiera tam, gdzie szarzyzna się rozwielmożniła. Te z utworów, w których myśl sama warta wspomnienia, wypisuję tutaj na pamiątkę.

Dr. B. D.

1. Czas do pracy
Bracia rodacy!
Kraj od nas żąda ofiary:
Rrzućmy karty i puhary!
Niewolnictwa brzydkie dary.
Wiary w przyszłość, w siebie wiary!
A zaświeci praca, cnota,
To są do wolności wrota!

K. L.

2. Ty opiewałeś Litwę słowem,
My ją bronim pracą,
I nie będzie trud jałowym,
Już nam plony płacą!

Wojniłłowicz.
(Prezes Tow. rolniczego w Mińsku guberjalnym.)

3. Miną w kolei wieków hymny, pienia mgliste,
Fala czasu kunsztowne natchnienia pokruszy,
Lecz słowa Twe o Wieszczu! rodzime, ojczyste,
Niecić będą płomień wieczny w Litwinów duszy.

J. C.

4. O myśli moje lećcie w tęskną czasów dal!
Ten kto te słowa kreśli, znał głębię bolu, czuł żal!
My dziś kroczyć nie umiemy wTwój przedziwny ślad,
Bo nas gniotą te kajdany — od setek już lat.
Tyś kochał swą ojczyznę! Tyś był kraju kwiat!
My dziś nędzni, upodleni, z wrogiem za pan brat.

Ks. D. L.

5. Niestety w wieku mym chłopięcym
Uczuciom swoim dać rytm i rym
Nie jestem jeszcze w stanie.
Lecz wrócę tu za kilka lat,
I wtedy rad zostawię ślad,
Mych tęsknic na tej ścianie.
Być zwiastunem zmartwychstania,
Myśli, uczuć, pięknych, dawnych,
Dzisiaj wszakże zapomnianych,
Szczytem marzeń niech się stanie.

J. L.
(12 lat liczący poeta.)

6. Wierzyć mogą w cuda,
Głupota i obłuda.
Prawdy szukać, cnotę szerzyć,
W lepszą przyszłość szczerze wierzyć,
Oto jest zadanie nasze!
A nie wierzyć w głupstwa wasze.*)

Pr.

7. Tęskniłem całe tu lato
I westchnień wysłałem tysiące!
O Wieszczu! Twój duch wpłynął na to,
Że serce miewałem gorące.**)

Wł. W.

---

*) Wiersz ten umieszczony pod prośbą o cudowne odtworzenie ojczyzny wolnej.

**) Inną ręką podpisany dwówiersz:
„Cną niewiastę miłujące,
Albo może jej tysiące?“

8. Drogi cieniu nam Adama!
Spojrzyj tu z niebieskich bram,
Czy Litwa Twoja taka sama?
Jak ją opiewałeś nam.
O! nie taka! wielkie czyny
Zgasły, świecą tylko ich ruiny.
Bo na kraju horyzoncie
Dziś Piltzowskie świeci słońce.

P.

9. Nie w kramiku Pilzow szukać,
Przyszłych losów swej ojczyzny.
Lecz do serca ludzi pukać,
By wyrzekli się szarzyzny.
Filaretów brać za wzory,
Na Adama spocząć łonie.
Oto hasła! w te też tory.
Idąc, wolność nam zapłonie.

Cz.

Prawem i lewem

WŁADYSŁAWA ŁOZIŃSKIEGO.

Mało bardzo jest dzieł historycznych w Polsce, któreby miały podobne znaczenie, jak książka p. Władysława Łozińskiego.

Słówko o autorze.

Władysław Łoziński, to jeden z najwytworniejszych umysłów w współczesnej Polsce.

Doskonały znawca kultury przeszłości naszej, umie łączyć zmysł, metodę i sumienność historyka z umiejętnością artystycznego ugrupowania i obrobienia faktów. Sam znawca i zbieracz dzieł sztuki w wielkim stylu, ma wszystkie dane po temu, aby z pod jego pióra wychodziły żywe i klasyczne obrazy obyczajowości i życia dawnego.



SCENA SEJMIKOWA.

Potomek szlachty wyrosłej z gleby czerwono ruskiej, zespolił wyobraźnię i pracę swoją artystyczną z ową ziemią nieustannie prawie ociekającą bratobójczą walką, z ziemią pełną mogił, krzyżów i grodów warownych, świadków tego niezmierzonego morza pracy ludzkiej włożonej w zagospodarowanie i obronienie tej kresowej ziemi Rzeczypospolitej.

Cały ten różnobarwny i różnojęzyczny świat Ormian, Greków, Żydów i Rusinów, który, stopiwszy się, złożył się na kulturę Lwowa XV. XVI. i XVII. wieku, znalazł doskonałego opisywacza we Władysławie Łozińskim.

Dzieła, „Patrycjat i mieszczaństwo lwowskie“, „Sztuka lwowska XVI. i XVII. wieku“, „Epilog złotnictwa ormiańskiego we Lwowie“, to książki pierwszorzędnej wartości historycznej i artystycznej.

Nie dziw, że dzieło „Prawem i lewem“ wywołało również zainteresowanie wielkie, tembardziej, że obecne wydanie (drugie) i w metodzie przerasta znacznie wartość pierwszego wydania, że materjał z natury jednostronny i ciemny, bo zaczerpnięty niejako z registratury karnej ówczesnej dopełnia podkreśleniem kulturalnej pozytywnej pracy, której śladami są

grody, zamki, budowle monumentalne, jakoteż i pamięć ludzi o cnotach obywatelskich niepośledniej miary, jak np. Hetman Żółkiewski.

W ten sposób przez umiejętne i sumienne zgromadzenie cieniów i świateł wydobywa autor z czasów opisywanych plastykę życia, typy bujne, nieokiełzane pomimo całej potworności czynów stają się psychologicznie zrozumiałe i wytłumaczone na tle czasów i społeczeństwa. Ta ziemia ruska przeorana wszerz i wzdłuż napadami Tatarów, Węgrów, Wołochów, ziemia gdzie pierwiastki starosłowiańskiej gminnej anarchji żyły u miejscowej szlachty i u ludu w wieku XVII. jeszcze wyraźnie, gdzie obyczaj zachodni cienką warstwą ledwo powlekał ludzi z natury dobrych, ale bujnych i dzikich a w dzikszych jeszcze czasach żyjących.

Tymczasem dośrodkowa siła, jaka bez wątpienia była dla tych żywiołów Rzęczypospolitej, to siła prawie tylko moralna, nie mająca w swoich dłoniach cienia rzeczywistej władzy.

Materjał zebrany przez p. Łozińskiego wykazuje dowodnie, jak właściwie po za tą wiązką praw politycznych, które przez Sejmiki szły aż do Sejmu koronnego i króla, po za prawodawstwem cywilnem i karnem, którego się mało kto bał, a nikt do niego się nie stosował, poza prawami innemi dla szlachty, innemi dla mieszczaństwa, innemi jeszcze dla chłopów w królewszczyznach i tych „poddanych“ dla których jedynem prawem była już tylko dowolność pana szlachcica, nie było nic, coby wypływało z samej władzy państwowej Rzeczypospolitej XVII. wieku.

Majestat jej, to urok moralny jedynie, który obowiązuje nawet i największego łotra ówczesnych czasów. Nawet zdrajca prawdopodobnie, a na pewno rokoszanin i warchoł bez czci i charakteru, jak Jan Szczęsny Herburt i Stanisław Stadnicki, djabeł łańcucki, nawet i ci, którzy współczesnym, o mniejszych znacznie skrupułach moralnych, ludziom wydawali się z piekła rodem, nawet i ci wiecznie mają na ustach dobro i korzyść owej mitycznej Rzeczypospolitej, wiszącej niejako w powietrzu, niewyraźnej, a jednak dla wszystkich widocznej.



PODWORZEC ZAMKU ŻÓŁKIEWSKIEGO.

Cóż dopiero mówić o takich, jak Hetman Żółkiewski, którym służba dla Rzeczypospolitej, służba wierna i nie oglądająca się za nagrodą, jedynem było prawem.

Słuszną zupełnie jest uwaga p. Łozińskiego, że w Polsce w wieku XVII. więcej znaczył człowiek, niż instytucja. Bezrząd szlachecki, łagodzony był jedynie charakterami wybitniejszych obywateli.

Jasnem swojem istnieniem hamowali oni zawiść i zaciętość rywalizujących i walczących ze sobą udzielnych królewiąt szlacheckich.

Dawne bowiem gminowładztwo słowiańskie przejawiało się tu w tem, że pan jako jednostka gminowładcza był właściwie udzielnym panem w swo-

jej gromadzie poddanych, panem własności, życia i śmierci.

Cała ewolucja od równości do absolutyzmu dokonała się w Polsce właściwie w łonie gminy, tak, że Polska w wieku XVII. była ogromnem zbiorowiskiem małych królestw samowładnych prawie zupełnie, których jedynie stosunki wzajemne regulowało słabe ustawodawstwo państwowe Rzeczypospolitej.

Bez tej fikcji „dobrowolnej umowy“ wszystkich szlachciców w Polsce, jako królów wioskowych nie jest możliwem zrozumienie obowiązkowej jednomyślności i prawa „liberum veto“ ówczesnych sejmów i sejmików polskich.

Książka p. Łozińskiego jest więc wypełnioną obrazem tych układów dyplomatycznych, sojuszów, wojen, podstępów wzajemnych, których tłem była ziemia ruska, i stosunki wzajemne „graniczne“ ówczesnych potentatów jedno, dwu i więcej wioskowych.

I oto na tle tych rabunków, wypraw i sąsiedzkich wojen, wojen nieraz krwawych i kosztownych maluje się charakter wewnętrzny Polaka na Rusi owych czasów, którego karykaturą, prawie już przerysowanym i nawet dla wielu współczesnych potwornym wyrazem był Djabeł łańcucki.

Jemu też, jako ówczesnej syntezie warcholstwa, rozpasania, braku wszelkich wędzideł moralnych wewnętrznych i zewnętrznych poświęcił p. Łoziński sporo miejsca w drugim tomie. I co jest najdziwniejsze w tych typach obwiesiów anarchistycznych polskich, że nie kieruje nimi, jak słusznie to uważa Łoziński uwielbienie złego i czynienie źle dla samego zła, owszem niema w nich żadnej demoniczności. Trochę autorytetu i władzy, a z tych rozpasanych wilków drapieżnych robią się potulne baranki, gotowe do wszystkich upokorzeń, jak długo nad nimi wisi bat...



POMNIK ŻÓŁKIEWSKICH W KOŚCIELE W ŻÓŁKWI.

Taki Herburt i Stadnicki pod wpływem lada jakiego nacisku odwołują, odszczekują i łaszą się wobec tego samego króla, którego za nic publicznie mieli, jeśli tylko ukazała się w zanadrzu porządkująca pięść królewskiej egzekutywy wojennej.

Z tego wniosek, że można było okiełznać owe szlacheckie żywioły autorytetem władzy, że pomimo całego warcholstwa, twardych naprawdę natur jest niewiele, a żelaznych i niewzruszonych mężów zna Polska tylko w tych dobrych i szlachetnych typach.

Ale tym szlacheckim bujnym naturom, nierozumiejącym jeszcze granic prawa jako moralności, tylko miecz władzy królewskiej państwowej mógł jedynie nakreślić linje wzbudzające poszanowanie i respekt. Tymczasem Rzeczpospolita, w której źrenicą złotej wolności była nieograniczona niczem prawie swoboda szlachcica nie wydobyła ze siebie żadnej siły dośrodkowej.

Nie był tą siłą król, bezsilny nawet i wtedy, kiedy miał najlepszą wolę służyć dla państwa, nie było mieszczaństwo nieliczne, ograniczone, częściowo

jeszcze cudzoziemskie i cudzoziemskiemi prawami się rządzące.

Nie był też chłop, ani ten bliższy Beskidu, który przechowywał w sobie stare tradycje słowiańskiego samorządu, jeszcze chłop z królewszczyzn wiedział może najlepiej o opiekunie swoim królu w Warszawie, którego dłoń słaba rzadko go osłaniała przed nadużyciami starostów i podstarościch. Natomiast nieszczęsna dusza niewolnicza przywiązana do wsi pańskiej była już niczem dla Rzeczypospolitej, więc i Rzeczpospolita niczem dla niego, a wszystkiem pan, ów samowładca wioskowy. A jednak książka p. Łozińskiego pokazuje jasno jak na dłoni czem mógłby być mieszczanin i chłop dla Polski.

Oto z tych zapylonych aktów wyłania się potężne porządkujące ramię mieszczańskiego Lwowa na Rusi. Nawet najbutniejszemu szlachcicowi rzednieje mina i potulnieje głos w obrębie bodaj donośności dział miejskich.

Te, łyki miejskie lwowskie umieją nadać sobie respekt, tak, że szlachta ze Lwowem jak z udzielnem mocarstwem zawiera przymierza i konfederacje.

Ale Lwów niestety był tylko jeden. Pan Władysław Łoziński nie waha się również oddać najwyższej pochwały cnocie żołnierskiej prostego ludu polskiego.

Ten lud niewyczerpany w swojej dobroci i cierpliwości, który musiał ogromnemi ofiarami bronić często resztek praw swoich, ten lud jako żołnierz polski stawał się niezrównanym już w XVII. wieku.

Kiedy pod Parkanami cała szlachta odbieżała już Jana III., uratował go rajtar chłop polski od niechybnej śmierci.

Te ciury i pacholiki niejednym czynem zapisali się w historji, których by się nie powstydził rycerz bez zmazy i skazy.

Jakaż to potężna i zmarnowana siła tkwiła w tych masach chłopskich, domyślał się Batory, tworząc szeregi piechoty łanowej.

Książka p. Łozińskiego pokazuje te wszystkie drogi jakiemi się tyle sił bujnych w szlachcie i w ludzie zmarnowało, zjadło i zniszczyło we wzajemnych walkach, rabunkach, rozpasaniach i bijatykach. A jednak mimo wszystko, ta siła moralna płynąca z Mazowsza, z Warszawy, z dworu królewskiego, z życia umysłowego, obyczajowego, z miast Małopolski i Wielkopolski nie ginęła bez śladu, rozpływając się u stóp Karpat i jarów podolskich. Gdyby nie ta promieniająca siła kultury, która nakazywała w sztuce, w budownictwie i obyczajach skłaniać głowę ku zachodowi polskiemu, nicby z polskiego języka i wpływów nie ostało po dziś dzień po wsiach i grodach Rusi czerwonej.

Nic, prócz wspomnień i to nie zawsze niestety pełnych chwały i dumy narodowej.

Takim jest miąż cennej książki p. Władysława Łozińskiego.

Kazimierz Mokłowski.

Herbert Spencer o małżeństwie.

W autobiografji Herberta Spencera, która właśnie teraz wychodzi po niemiecku staraniem prof. L. Steina z Berna i jego córki, znajduje się ciekawy list znakomitego filozofa do jego przyjaciela Lotta, datowany d. 18 marca 1845 r. Spencer miał wtedy lat 24; Lott zawiadomił go o swych zaręczynach, i Spencer w odpowiedzi wyłożył mu swoje poglądy na małżeństwo i miłość.

1) Przypuszczam, że zgadzam się z Emersonem na to, że prawdziwa miłość między mężczyzną i kobietą opiera się na tem, że jedno jest dla drugiego ideałem. Możnaby dodać, że pierwszym warunkiem szczęścia w małżeństwie jest trwanie tego wyobrażenia ideału. A zatem postępowanie wzajemne powinnoby zawsze być takie, żeby nie znajdowało się w sprzeczności z obrazem jego. Dlatego jestem też tego zdania, że małżonkowie, zamiast, jak to zwykle bywa, w obecności swojej nie dbać o powierzchowność i pozwalać sobie na zbytnią poufałość, powinni jeszcze więcej troszczyć się o to jedno wobec drugiego, niż wobec innych ludzi.

2) Małżonkowie muszą uznać całkowite, wzajemne równouprawnienie, żadne nie powinno mieć większych pretensyj do władzy, niż drugie. Obecny stosunek mężczyzny i kobiety, w którym jedno rządzi postępkami drugiego, jest niczem innem, tylko pozostałością niewolnictwa, taki stan musi koniecznie niweczyć czystą miłość. *Albowiem jakże można istotę, którą się przez odmówienie jej równouprawnienia poniżyło, uważać jeszcze za wcielenie ideału?* Mnie się zdaje, że panowanie mężczyzny sprzeciwia się prawdziwej miłości, i jestem przekonany, że żaden dobrze myślący mężczyzna nie ma tak nizkiego pojęcia o godności swej żony, żeby mu przyszło do głowy jej rozkazywać, i że

szlachetnie myśląca kobieta nigdy nie pozwoli na to, żeby jej rozkazywano.

3) Ostatnim wreszcie warunkiem jest, sądzę, żeby małżonkowie jak najmniej myśleli o łączącym ich węźle prawnym, lecz pamiętali zawsze o naturalnym łączniku sympatji. Nie zdaje mi się, żeby najdoskonalsze szczęście opierało się na sankcji prawnej, bo jeśli nie możemy nigdy pozbyć się jej z naszej wiadomości, to sankcja ta będzie zawsze wpływać na nasze postępowanie. Powinniśmy tedy przedewszystkiem się starać wypędzić myśl o związku prawnym; mąż i żona powinni zachowywać się względem siebie w taki sposób, jak gdyby prawnego związku wcale nie było.

Gdyby ludzie byli mądrzy, toby zrozumieli, że miłość, którą Bóg nam wpoił, *jeśli nie została osłabioną sztucznymi dodatkami*, musi wystarczyć dla utrzymania małżeństwa. Gdyby ludzie tylko ten fakt uznali, wszystko byłoby dobrze. Pragnąć prawem ludzkiem połączyć coś, co Bóg połączył miłością, jest tak samo rozumną rzeczą, jak gdyby chciano przykuć księżyc do ziemi, aby naturalna siła przyciągania, jaka między niemi zachodzi, przeszkodziła im się rozłączyć."

FELIKS GWIŻDŻ:

Powrót.

Idą chłopcy od Ciorśtyna,
Patrzy matka swego syna —
Ka-ż Janicek mój?
W lesie leci z drzew cetyna,
Nie patrz, matuś, swego syna —
Śmiały synek twój!...

Czapke se na bakier nosił
I, jak trawe, ludzi kosił —
Hej! jak ten sie bił!...
Aż go hetman raz zaprosił
I — że Jaś twój ludzi kosił —
Zdrowie jego pił!...

Ej! hetmanie nasz kochany,
Dzisiaj Ciorśtyn krwią zalany —
Hej! Napierski nasz!...
My sterani, tyś sterany,
Ciorśtyn cały krwią zalany —
Wzięli cie pod straż...

A ty matuś nie patrz syna,
Już nie wróci od Ciorśtyna,
Nie puści go król —
Hej! z hetmanem śmierzć jedyna,
Niech nie wraca od Ciorśtyna,
Hetmanowi zmniejszy ból...

KNUT HAMSUN.

Odczyt na prowincji.

(Dokończenie.)

Tymczasem pan dyrektor wyprowadził nowe zwierzę i czekał na mnie. Ja zaś znowu wypiłem kieliszek i znowu usiadłem. Widocznie za długo było czekać panu dyrektorowi, gdyż począł sam objaśniać w swoim niemożliwym żargonie, a ku mojemu przerażeniu słyszałem, jak opisywał hienę, zagalopował się i nazwał ją borsukiem. Rozgniewało mnie to, wyszedłem na scenę, odsunąłem na bok pana dyrektora ruchem łokcia i zacząłem sam mówić. Hjena była „clou" przedstawienia, musiałem przemawiać, jak nigdy dotąd, aby uratować sytuację a już od chwili mojego ukazania się, odsunięcia na bok pana dyrektora, miałem słuchaczów po swojej stronie. Zadałem kłam panu dyrektorowi, powiedziałem, że on nigdy nie widział w swojem życiu hjeny i począłem opisywać krwiożerczość drapieżnego zwierza. Wypita wódka sprawiła swoje, zapał mój wzrósł do zawrotnych wyżyn; sam słyszałem jak słowa moje stawały się ognistsze i gwałtowniejsze, gdy hjena stała u nóg pana dyrektora i cierpliwie mrugała swojemi maleńkiemi oczkami.

— Trzymaj pan ją dobrze! — krzyczałem na dyrektora — Czai się do skoku! Wnętrzności moich jej się zachciewa! Pistolet w pogotowiu, gdyby się chciała wyrwać!

Pan dyrektor widocznie sam się zdenerwował, szarpnął hjenę ku sobie, lina się przerwała i zwierzę schowało mu się między nogi. Krzyk kobiet i dzieci zabrzmiał w sali, połowa publiczności wstała. W tej chwili naprężenie było wielkie. Wtem hjena drobnym krokiem przebiegła obok nas, po przez scenę i skryła się do swej nory. Pan dyrektor zatrzasnął za nią drzwiczki.

Odetchnęliśmy wszyscy i zakończyłem wykład kilku słowami:

— Tym razem wyszliśmy cało — powiedziałem — ale dziś jeszcze trzeba się postarać o ciężki żelazny łańcuch dla potwora.

Skłoniłem się i zeszedłem z estrady.

Wtedy zabrzmiały oklaski, poczęto stukać i wywoływać mówcę.

Wyszedłem i znów się ukłoniłem a rzeczywiście świetnie mi się udało. Nawet na ostatniem miejscu klaskano, póki nie zniknąłem za kurtyną.

Pan dyrektor był zadowolony, podziękował mi serdecznie za pomoc. Z pewnością jeszcze raz będzie miał salę wypełnioną.

Gdym wychodził do domu, zastałem przed bramą kogoś umyślnie na mnie oczekującego. Był to mój literat z pawilonu. Był obecny na przedstawieniu i oczarowałem go.

Sławił gorącemi słowy moją wymowę, nie powinienem porzucać myśli o wykładzie w pawilonie w parku; teraz pora ogłosić go, skoro ludzie przekonali się, co potrafię — a gdyby tak powtórzyć mowę o hjenie, zwłaszcza jeżeliby się dało i zwierzę samo okazać!

* * *

A pan dyrektor, ten bezczelny człowiek nie chciał mi nazajutrz wypłacić, jeżeli się na piśmie nie zobowiążę wystąpić także i następnego dnia. Pozwala mi oddać sprawę sądowi. A to oszust, łajdak! Zawarliśmy dobrowolny układ: da mi tylko pięć koron. Dodane do trzech, które mi już dał, tworzyłyby ośm i miałem pieniądze na podróż powrotną do Chrystjanji. Ale wykład napisany pragnął zatrzymać. Długo omawialiśmy ten punkt, gdyż nie chciałem swojej pracy wydać na czystą profanację. Z drugiej strony była to bezspornie jego własność — zapłacił za nią przecież. W końcu ustąpiłem: tak wysoko cenił moje dzieło!

— Takiej mowy nie słyszałem dotąd nigdy — mówił. — Przypominam sobie, że wczoraj byłem nią bardziej wzruszony, niż jakiemkolwiek kazaniem.

— Widzi pan, taki potężny wpływ wywiera literatura na umysły! — odparłem.

Były to moje ostatnie słowa, zwrócone do niego. W południe pojechałem napowrót do Chrystjanji.

Tłum.

J. Klemensiewiczowa.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Gawoty gwiezdne, poezje prozą Jana Wroczyńskiego, Lwów MCMV., nakładem księgarni H. Altenberga.*

Książka imponuje już na pierwszy rzut oka — wydaniem i dobremi illustracjami. Należy ona do tych wykwintnych wydawnictw, umiejących tak dyskretnie i zręcznie naśladować stare, spłowiałe wydawnictwa dawno ubiegłych lat. Illustracje na pierwszy rzut oka przypominają nam coś — wszak to „styl“ warszawskiej Chimery, a i autor znany nam z łamów tego „arystokratycznego“ pisma!

Pogrzebawszy nieco w pamięci, przypomnimy sobie i więcej. Przypomnimy słowa gorące Miriama, z jakiemi wyrażał się o młodziutkim autorze. Nie uznajemy powag w żadnej dziedzinie, ani nauki ani sztuki tak dalece, aby coś uznać za dobre, tylko dlatego, że powaga tak mówi. Lecz Miriam (pomijając jego mistyczne, niemożliwe teorje) zna się na sztuce subtelnie i odczuwa ją znakomicie. Nie pomylił się przeto i na Wroczyńskim.

Ale Wroczyński z innych powodów nam się podoba, z innych Miriamowi. Miriam marzy o jakichś głębiach w poezjach Wroczyńskiego, my o tem i słyszeć nie chcemy. Oceny logicznej do dzieł sztuki przykładać nie chcemy, bo robi się wówczas zwykle fiasko. Dzieło sztuki nie wytrzymuje wtedy próby — i pozornie traci na wartości. Oceniamy więc „Gawoty“ estetycznie i tłómaczymy, dlaczego nam się te utwory podobają.

Poeta pisze, jak widać z tytułu poezje prozą. Poezje prozą, stały się dziś konwencjonalną formą, wyrażającą w tysiącznych odmianach blade uczucia i blade nastroje. Uczynić je zajmującemi i mocnemi — jednem słowem: pisać poetyczną prozą rzeczy ogromnie oryginalne i zajmujące, znaczy mieć duży i oryginalny talent. W czem tkwi oryginalność poetycznej prozy Wroczyńskiego? Częściowo w doborze tematów, częściowo w sposobie traktowania ich i w rodzaju wykonania artystycznego, przedewszystkiem jednak w tem, że poetyczna proza Wroczyńskiego przestaje być narzędziem czysto lirycznem, a staje się opisowem. Chociaż kojarzenie elementów estetycznych odbywa się u Wroczyńskiego głównie na tle uczuciowem, choć dobiera słów, zwrotów, figur, przenośni przepojonych uczuciem i wyczuciem, to jednak jest przedewszystkiem epikiem, olśniewającym epikiem rzadkich, ale ogromnie intensywnych, momentalnych stanów duchowych. Nazwał (o ile pamiętam) Miriam Wroczyńskiego „wizjonerem“. Zgodzę się na to, ale wytłómaczę po swojemu. Zdolność do dokładnego odtwarzania rzeczywistości lub urojeń posiada każdy epik. Jeśli ją będzie posiadał w wysokim stopniu dokładności, nazwę go wizjonerem. Tembardziej, jeśli przedmiot, który odtwarza, jest nikłym, krótki czas trwającym, jak właśnie stany wewnętrzne człowieka.

Celem uplastycznienia swoich opisów używa poeta całego bogactwa skojarzeń, analogji, porównań i figur. Środki te artystyczne, co do

rodzaju swego takie same, jak i u innych epików, dzięki niezwykłym przedmiotom, które mają być uplastycznione, same nabierają niezwykłości. Jak pięknym i niezwykłym jest np. ustęp, w którym plastyka występuje na tle analogji między wrażeniami dźwięków a kształtów: „Piekielny chaos melodji... łąka... wielkie, płaskie, senne liście basów, wiotkie, strzeliste dziewanny fletów mieszają się z drzemiącymi nenufarami trąb, a w to wpełzły... ljany skrzypiec, lubieżne, płaczące, cienkie“... Albo: z pośród gęstwy głosów strzela jasną, radosną dziewanną krzyk dumny, świeży.

Nie wszystkie jednak utwory w niniejszym zbiorku zasługują na jednakową ocenę. Są utwory i słabsze; a takiemi są głównie te, gdzie autor albo zaczyna rozumować, albo rzuca opis, a wpada w lirykę. Czasem zdarza się, że opis (jak w „Wieczności“) przechodzi w luźne szeregowanie przedmiotów, przypominające „sposób“ Neuwerta-Nowaczyńskiego, który obok Przybyszewskiego wywarł silny wpływ na autora.

„Gawoty gwiezdne“ są jednem z piękniejszych dzieł sztuki, jakie się pojawiły w ostatnich czasach.

Teodor Mianowski.

Adam Stodor: Drobne poezje Kazimierza Brodzińskiego do r. 1818. (Przyczynek do charakterystyki poety) Stanisławów, Albin Staudacher i Spka. 1905. Warszawa — Jan Fischer.

Rozprawka niniejsza ma na celu wykazanie wszystkich właściwości utworów Kaz. Brodzińskiego do roku 1818 t. j. do pojawienia się w „Pamiętniku warszawskim“ rozprawy: O klasyczności i romantyczności. Głównie chodzi autorowi o oświetlenie twórczości wymienionego poety między r. 1815 a 1817. Ponieważ niepodobna utworów w tym czasie powstałych oddzielić od wcześniejszych, przeto autor rozprawki nakreślił, jakim wpływom ulegał Brodziński od dzieciństwa. Największy wpływ wywarła na Brodzińskiego literatura niemiecka tak klasyczna jak i romantyczna; prócz tego rozczytywał się i w polskiej, którą poznał gruntownie.

Rozczytywanie się w literaturze obudziło w Brodzińskim chęć pisania. Te początkowe próby, mające na sobie silne piętno klasycyzmu, nie przedstawiają zresztą wielkiej wartości literackiej. Do utworów pseudoklasycznych należą przedewszystkiem bajki, które nie wielką cieszyły się sławą, gdyż zbywało im na ciętości. Prócz bajek pisał Brodziński i poematy dydaktyczno-klasyczne. Te utwory można uważać za doskonałą illustrację jego teoretycznych przekonań, wyłożonych w rozprawie: „o klasyczności i romantyczności“.

Wcześnie jednak zaznaczył się u Brodzińskiego także i wpływ prądów romantycznych, które znalazły doń przystęp przez — lud. Umiłowanie ludu odsłoniło mu tajemnice romantyzmu, niezrozumiałe dla współczesnych. Wiersz pt. „Pole raszyńskie“ ma już wszystkie cechy utworu romantycznego. Ciekawym jest również i ten (może nie wszystkim znany) fakt, że Brodziński sprzyjał wolnomularzom, że idee wolnomularskie potrafiły go niejednokrotnie głęboko wzruszyć i że pozostawiły one ślad w wielu niezwykle pięknych jego utworach. Kończy tę piękną rozprawkę p. Stodora udatne zestawienie Brodzińskiego z Koernerem.

Praca p. Stodora spełnia zupełnie to, co we wstępie zapowiada. Rzuca przytem ciekawe światło na pierwociny twórczości tego poety, który dzisiaj żyje tylko bodaj w pamięci historyków literatury. *m.*

PISMA. *Lud*, Organ Towarzystwa Ludoznawczego, pod redakcją K. Potkańskiego i Seweryna Udzieli. Mamy przed sobą II-gi i III-ci zeszyt, tomu X., tego ze wszechmiar pożytecznego pisma. Spotykamy tu nazwiska, które zapisały się już zaszczytnie w nauce. I tak: prof. dr. Stanisław Windakiewicz podaje w zeszycie II-gim ciekawe studjum pt. „Pieśni i erotyki popularne z XVIII. wieku“.

Autor, posługując się licznie cytowanymi przykładami, wywodzi pochodzenie rozpowszechnionych dziś między ludem piosnek okolicznościowych od erotyków z XVIII. wieku. Według wzorów tych, lud nasz stworzył sobie własne pieśni, które mocą tradycji utrzymały się do obecnej chwili.

Z innych prac, zawartych w ostatnich zeszytach „Ludu“, wyróżniają się dra St. Estreichera: „Wypraszanie od kary śmierci w obyczajach naszego ludu“, jak również artykuł redaktora p. S. Udzieli: Kilka słów o strojach, budowach, sprzętach i naczyniach w Sądeczczyźnie“. Artykuł p. Udzieli illustruje kilka prześlicznych i niezwykle starannie wykończonych rycin, do których rysunków dostarczyły ludowe nauczycielki. Redaktor Udziela z zamiłowaniem zbiera wszystkie materjały, tyczące się etnografji naszego ludu. Dział etnograficzny w Muzeum Narodowem w Krakowie zawdzięcza mu też bardzo dużo.

Prócz tego wymienić należy: „Boże Narodzenie w Rabce i w okolicy“ przez Józefa Cieplika. „Lech, czy Lęch“ Szymona Matusiaka. „Boże Narodzenie w Radłowie“ dra Wł. Semkowicza. „Materjały historyczne“ dra Karola Potkańskiego. „O korzeniach czarodziejskich w lecznictwie ludowem u nas i gdzie indziej“ Józefa Cieplika. „Muzeum etnograficzne w Krakowie“ Seweryna Udzieli.

A. K.

SZTUKA. *Lubelskie malowidła w XV. wieku.* Dwaj mieszkańcy Lublina, pp. Smoliński, artysta-malarz, i Łopaciński, znany filolog i historyk, uczynili przypadkiem odkrycie wysokiej doniosłości dla nauki. W starożytnej kaplicy byłego zamku królewskiego w Lublinie, zamienionej od szeregu lat na kaplicę więzienną, wykryli ścienne malowidła religijne, sięgające początków XV. w. Odkrycie uczyniono dzięki temu, że w jednem miejscu odpadł ze ściany spory kawał tynku, z pod którego wyzierały jakieś stare malowidła.

Malowidła zostające narazie pod grubą warstwą tynku — pochodzą z początku w. XV., to znaczy, są o 70 lat starsze od malowideł kaplicy Kazimierza Jagiellończyka na Wawelu. Kazał je malować zapewne Władysław Jagiełło, być może nawet tym samym wileńskim malarzom, którzy na rozkaz jego malowali królewskie komnaty w zamku krakowskim.



Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5